

bie przekonanie, iż we mnie ból zawiedzionych zmysłów nie istniał i nie istnieje, i że nie wypaliło się moje ciało w gorączce chorej miłości, jedynie zabito we mnie człowieczeństwo — Tyś, Matko, dała mu zmartwychwstanie.

I przeto moja dalsza ścieżka jest prosta i czysta.

A jeśli kiedy cień Ryszarda przejdzie przez tę ścieżkę, pozostanie tylko cieniem, zimnym jak góra lodu od północnej strony, bezsilnym!

Twoje słowa wówczas przecięły wszystkie więzy moich uczuć, które oplątały się dokoła jego ramion i głowy.

Dla Twego spokoju, Mateczko, aby się wytłumaczyć, pisałam to wszystko.

Ale do tych prochów, przysięgam, już nigdy więcej nie powrócę.

3 lutego.

Był dziś dzień cudny, iskrzący się miliardami brylantów, biały aż do bólu oczu, pełen słońca, lejącego promienie z zaświatów.

W wysokich filcowych butach, w krótkiej sukni przeszedłam z Olusiem wszędy i wzdłuż całe jezioro rupienieckie.

Nie lękaj się, Mateńko. Nic mi złego nie groziło. Mrozy były silne przez kilka dni i ścięły wodę na kilka stóp grubości.

Lód błyszczący jak potężna tarcza Apollina (uczę właśnie Olusia mitologii greckiej), jak gigantyczne oko wprawione w czoło białej ziemi, odbijał nasze postacie, wiatr zaś popychał nas wzdłuż poziomego opalizującego promieni słonecznych ku drugiemu brzegowi.

Wiedźma musi mieć niezwykle urok w lecie. Tak lud nazywa jezioro rupienieckie.

Oprawione w ramy spadzistych wzgórz, pełnych skał omszonych, w swej węższej części strojne w olbrzymi, wydłużony las niby w mityczny warokocz, wabi i odpycha, każe się kochać i każe się bać.

Podanie mówi, że Wiedźma jest niebezpieczna, zwłaszcza dla tych, którzy szukają w życiu szczęścia.

Młode pary we wsi zabobonnie omijają zdaleka jej brzegi przed ślubem.

Wiedźma spojrz, wyciągnie mokre ramiona i wraz ze szczęściem zabiera życie.

Tak chce podanie.

Uśmiecham się sceptycznie, trochę jednak wierzę — legendy są poetyczną prawdą.

Dziś, dzięki Wiedźmie, czuję się odmłodzona, świeża i lekka. Może dlatego, że nie szukam szczęścia.

Ogółem, jak to już raz pisałam, całkiem dziecinnie.

Czy uwierzysz, droga Mateńko, że po milowej tafli Wiedźmy płynęła dziś piosnka z ust twojej Heli, owa piosnka, którą tak bardzo lubisz?

„Hej latawce, hej sokoły, droga niedaleka...”

Ach, jak te lody dzwoniły! ach jak te tony niosły się lekko na kraj świata!

Olus w takt tupął nogami i wydawał pomruki altowe.

Lala — lala...

Wszystko odsunęło się od nas daleko, daleko... dwór rupieniecki zaginął w objęciach lasów, wieś ukryła się za zazdrosną górą, nad nami było tylko gorejące słońce, pod nami otchłanie Wiedźmy, zakłete w przeogromne zwierciadło lodu.

„Tam wypoczniesz z przyjaciół, tam radość nas czeka”...

Nikt nas nie słyszał, tylko lasy, góry, słońce i Wiedźma.

Matko! Mateńko! przyjedź do Rupienek. Przyjedź do Rupienek. Przyjedź, póki jeszcze lody, śniegi, póki ludzie jak kryształ, przyroda jak cud, póki Wiedźma spętana...

Przyjedź! wyrwij się z murów Warszawy na dwa dni, choćby na jeden!...

6 lutego.

A jednak i po dworze rupienieckim chodzą smętne cienie. A jednak i tutaj płaczą czyjeś oczy, cierpi czyjeś serce.

Nie moje, Matko! nie moje!

Dostrzegłam, wyczułam, zrozumiałam.

Nie lękaj się o mnie, Mateńko. Ja nie mam z tem nic wspólnego. Mój list poprzedni powinien Ci powiedzieć całą prawdę o mnie.

Jestem jak los dzika, jak śniegi zimna, jak słońce daleka od ludzi. Ale jednej jeszcze rzeczy nie umiem! być bezwrażliwą.

Tak się snąć uformowała dusza moja, iż jeden błysk oczu smętnych, jeden drobny ruch umęczenia, jeden dźwięk stłumiony, przyduszony, nabrzmiały melancholią, a już czujne staje się serce i struny zaczynają w niem grać...

I tu ludzie cierpią.

Zgoła inaczej myślałam.

Myślałam, że ich omglone spojrzenia, ich blade uśmiechy, ich przygasłe rozmowy są wyrazem cudnego ukojenia wewnętrznego, że ci ludzie wiedzą wiele, poznali wiele, urzeczywistnili swe tęsknoty i przeto snują życie zamknięte, dostojne...

A przecież okazało się, że moja przyjaźń z Olusiem była najtrafniejszym wyborem. Tylko od niego mogłam wziąć pogodę i beztroskę taką samą, jaką brałam z rąk hojnych przyrody — tylko on jeden jest instrumentem nieposzarpanym uderzeniami burz i może zasypiać lekko ze złotą tęsknotą za szczęściem — zasypiać bez bolesnego uśmiechu na wargach. On jeden!

10 lutego.

Droga Mateńko! radzisz mi być ostrożną, raczej nieufną wobec ludzi. Pisziesz tak, widocznie zaniepokojona moim ostatnim listem.

Ach, to już taka moja wielka wada, że wyogromniam wszystko to, co napotykam w życiu, a co czemkolwiek zawadza o moją wrażliwość —

zatem radość i ból i własną mękę i cudze cię nie — wszystko gra dla mnie spotęgowanymi kolorami witrażów weselnych lub ponurych — rozszczepia światło pospolite słońca i daje jego promieniom barwy mojej duszy.

Ale już inną nie będę i Ty, Mateńko, nie będziesz inną.

Widzimy wszystko za mocno, czujemy za mocno, i jesteśmy za bardzo nieugięte.

Należymy obie do jednej i tej samej rodziny — ludzi tragicznych.

Czytałam to już w jakiejś książce, dużo i głęboko mówiącej o psychologii. Nie wiem, czy trafnie wówczas zrozumiałam myśl autora, czy też sama podsunęłam moją myśl własną pod jego myśl.

Uderzyło mnie wówczas zwłaszcza to powiedzenie, iż miliony ludzi wiedzą życie wegetacyjne, to znaczy życie łatwe, niemal mechaniczne, sprowadzone do najprostszych funkcji i potrzeb, zadawalając się tem, co prąd przyniesie. Ludzie tego pokroju przyjmują zło i dobro nie tak, jakby im nakazywało sumienie, wrodzone poczucie etyczne, siła ich ideałów, wskaźniki pięknych przykładów, prosty wreszcie odruch instyktu etycznego — oni zachowują się we wszystkim tak, aby mieć jak najmniej trudności, a jak najwięcej szczęścia, choćby niewypowiedziane płytkiego.

Są jednak ludzie, którzy żyją inaczej — żyją całą duszą, całym sercem — są wrażliwi na wyższą miarę.

Złtu nie ulegają, nie szukają dróg pochyłych, wiodących do kompromisu z nędzą duchową, ale ze złem staczają walki, jak im instykt wewnętrznej etyki, jak im ów imperatyw odwiecznej pewności (bo i taka istnieje we wszechświecie) nakazuje. Tacy ludzie nie lubią łatwego życia, kochają życie jasne, proste, otwarte jak księga mszalna, życie mocne, własne, nie strojone w sztuczne kwiaty kłamstw i niemniej słodkiej, faryzeuszowskiej ustępliwości.

Zwycięzają lub padają. Rządzą lub są niewolnikami. Nigdy czemś pośrednim.

W rozmyślaniach moich niedawnych natknęłam się na wspomnienie tych prawd — i porównyując z nimi moje i Twoje, Mateńko, życie — mimowoli się uśmiechnęłam.

My obie należymy do tej drugiej rodziny.

Może tak jest dobrze — może tak jest źle.

Kto to wie? Kto rozetnie ten węzeł gordyjski?

Zatem już się nie zmienię. Pozostanę jaką jestem. Tem jednym chcę Cię pocieszyć, iż na walki życiowe jestem zasobniejsza.

Mam już jak ślimak własny domek nad sobą, mam skorupę, uformowaną w ogniskach rozpacz i bólu, zatem moje wrażliwe serce cofa się do tego domku i kurczy i kryje, ilekroć razy nachodzi mnie niespodzianie zbyt silne wrażenie lub niebezpieczeństwo.

Tysiące uścisków

Hela.

K O N I E C.